

P E R W S Z A  
D Z E W  
C Z Y N K A

a m y h a r m o n



Tytuł oryginału

*The First Girl Child*

Copyright © 2019 by Amy Harmon

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo Nowe Strony

Oświęcim 2022

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Agnieszka Nikczyńska-Wojciechowska

Korekta:

Sandra Pętecka

Edyta Giersz

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Numer ISBN: 978-83-8178-926-4

**AMY HARMON**

**PIERWSZA  
DZIEWCZYNNKA**

**OŚWIĘCIM 2022**

Jak bowiem kobieta powstała z mężczyzny, tak mężczyzna  
rodzi się przez kobietę.

– *1 List do Koryntian 11:12*

# WYMOWA

Adyar: *AD yahr*  
Alannah: *a LAH nuh*  
Alba: *AHL buh*  
Banruud: *BAN rood*  
Bashti: *BASH tee*  
Berne: *burn*  
Bayr: *bear*  
Dagmar: *DAG mahr*  
Dalys: *DAH lis*  
Desdemona: *dez de MO nuh*  
Dolphys: *DAHL fis*  
Dared: *darehd*  
Dystel: *DIS tahl*  
Ebba: *EH buh*  
Elayne: *ee LAYN*  
Ghost: *ghost*  
Ivo: *EYE voh*  
Joran: *YOR uhn*  
Juliah: *YOO lee uh*  
Leok: *LEE awk*  
Liis: *lees*  
Saylok: *SAY lawk*

## PROLOG

Nie powinni się tak długo wspinać, jednak byli przekonani, że po dotarciu na szczyt Shinway będą w stanie spojrzeć ponad morze, aż na Wschodnią Ziemię. Myśleli, że może wypatrzą żagle ojcowskiego okrętu – żagle wszystkich dolphyńskich wojowników – wracającego z rejsy na odległe krainy. Ojciec zawsze coś im przywoził z tych podróży, mimo że często dostawali coś, czego w ogóle nie chcieli. Dagmarowi dał dwa miecze, nie zważając na fakt, że ten byłby bardziej zadowolony ze zwojów. Desdemona z kolei dostała błyskotki, podczas gdy wolałaby dostać wnyki lub zwój liny. Mimo wszystko wypatrywali go, wspinając się zbyt wysoko.

– Des, zbiera się na burzę – zmartwił się Dagmar. – Mgła osiada nad wodą. Nie zauważymy ojca, nawet jeśli prawie dopłynie do brzegu.

Desdemona skrzywiła się, kontynuując marsz. Wspinała się po kamienistej ścieżce niczym jedna z kóz, które trzymali i do których powinni wrócić. Gdyby ojciec zjawił się w domu, zastałby pustą chatę i głodne zwierzęta, niewydojone krowy i niezebrane drewno. Rodzeństwo wyruszyło w drogę o świcie, a teraz było już południe, mimo że przez gęstniejące chmury i przyciemnione światło miało się wrażenie, że jest o wiele później. Przez całą drogę bawili się w zbieranie skarbów, które porzucali na rzecz nowych znalezisk. Zatrzymali się, żeby zjeść jagody i wspiać się na wysoki dąb, który zbawił ich swoimi nisko wiszącymi gałęziami. Robiło się już późno, a oni byli zdecydowanie zbyt długo poza domem.

– Dzisiaj już nie wróci – oznajmiła szorstko Desdemona. – Wczoraj stara Hilda pytała morze, kiedy wróci, a ono odpowie-

działo jej, układając przed jej stopami pięć muszli. Powiedziała, że wojownicy wrócą za pięć dni.

Pani Dunhilde – mimo że była ospała i niedołączna – powierzono obowiązek opieki nad nimi podczas nieobecności ich ojca. Dagmar często odnosił wrażenie, że to on bardziej opiekuje się nią, niż ona nimi. Jednak w sprawach przepowiedni Hilda rzadko kiedy się myliła.

Dagmar przystanął.

– Dlaczego nalegałaś, żebyśmy wdrapali się na sam szczyt?  
– zapytał poirytowany.

– Siedzenie w domu mnie nudziło – odpowiedziała, wzruszając ramionami Desdemona. Posłała mu figlarny uśmiech i pociągnęła go za rękę.

– Desdemono, musimy zawrócić – ponaglił Dagmar. – Nadciąga burza, złapie nas, jak będziemy na klifach. – Jego młodsza siostra nigdy nikogo nie słuchała, przez co ciągle pakowali się w kłopoty.

– Nie martw się, Dag. Ochronię cię – zapewniła, wyciągając ze skórzanej pochwy przy pasie długi nóż. Złapała go oburącz i rzuciła nim w niepozornie wyglądającą sosnę, która rosła bezpośrednio przed nimi. – Mam go! – krzyknęła uradowana, biegnąc w kierunku drzewa. Dopiero wtedy Dagmar zdał sobie sprawę, że wcale nie celowała w pień.

Szary zając z wbitym w plecy ostrzem Desdemony skoczył w bok i zniknął wśród skał leżących u podstawy największego urwiska. Trzy klify Shinway spiętrzone jeden na drugim niczym ogromne schody były kamieniste i płaskie, z kolei otaczające je wzgórza były łagodne i zielone. Klify nie oferowały niczego poza spektakularnym widokiem i gwarancją długiej wspinaczki, a mieszkańcy Dolphys rzadko kiedy wybierali się na ich szczyt. Ludzie mieli niewiele czasu, a życie i tak było zbyt ciężkie, aby odbywać niepotrzebne podróże.

– Pospiesz się, Dag! – zawołała przez ramię, wsuwając skraj spódnicy za pasek, aby nie przeszkadzała jej w biegu. Poślizgnę-

ła się, jednak zdołała złapać się jednej z postrzępionych skał, po czym natychmiast zerwała się na równe nogi i ruszyła w pogon za tłustą zwierzyną, która mimo rany nie została jeszcze pokonana. – Tam poszedł – wysapała do podchodzącego Dagmara, wskazując na wgłębienie pomiędzy dwiema skalnymi półkami.

– A wraz z nim jest tam twój nóż – dodał Dagmar, chociaż był przekonany, że zając ucieszyłby się, gdyby pozbył się ostrza wbitego w swoje ciało. Z wąskiej ścieżki nie widać było wejścia do jaskini, przysłaniała je kurtyna rosnącego na wyższym stopniu bluszczu. – Pokaż mi ręce – polecił Dagmar. Uniosła je niecierpliwie. Obie dłonie miała otarte, a z powstałych podczas upadku ran sączyła się krew.

– Krwawienie ustanie – upierała się. – Trochę szczypie. Wchodzę tam. Chcę odzyskać nóż i złapać tego zająca. Zrobię z niego trzewiki i pyszny gulasz.

Dagmarowi nie chciało się nawet protestować. W jaskini będzie strasznie ciemno; Desdemona nie zajdzie za daleko. Spojrzał na górujące nad nim klify i zastanowił się, ile już zdołali przejść. Poniżej, po lewej, rozciągała się tafla wody. Mgła już zdążyła ją otulić, a szum wiatru zlewał się z odgłosami fal i zagłuszał ich uderzenia o brzeg. Jednak Dagmar wiedział, że morze tam jest.

Za nim rozpościerała się nieustępliwa i zjawiskowa dolina Dolphys, przez którą przepływała srebrna wstęga rzeki Mogdy, wijącej się pośród chałup i domostw, które z tej wysokości wyglądały na nie większe niż rozrzucone po piachu muszle. Wzgórze – nierówne, zniekształcone zielone piramidy – pokrywały dolinę, oddzielając jeden klan od drugiego. W Dolphys mnóstwo było takich wzniesień. Ludzie nazywali je śpiącymi olbrzymami, chociaż bardziej przypominały one ogromne, śpiące ropuchy.

– Ciemno tu! – zawołała Desdemona od wejścia do jaskini, z kolei Dagmar uniósł głowę ku niebu.

Chmury – równie mroczne i złowieszcze jak charakter ich ojca – unosiły się nad jego głową, zabarwiając otaczający go świat od-



cieniami szarości. Westchnął i poszedł szukać czegoś, co nadawałoby się na opał. Schodzenie w dół zbocza podczas ulewy byłoby głupotą, a jaskinia była odpowiednim miejscem, aby spędzić w niej kolejne kilka godzin, jednak będą potrzebowali ognia.

Leżąca sosna o połamanych, kruchych gałęziach dostarczy wystarczająco dużo opału. Używając toporka, który zawsze nosił przy pasie, urąbał kilka gałęzi i zaciągnął je wąską ścieżką ku otworowi w skale. Desdemona odsunęła pnącza, aby pochyłający się Dagmar, mógł wciągnąć drewno do jaskini. W środku dopiero mógł się wyprostować. Nie widział niczego, na odległość kilku kroków, jednak grota wydawała się rozległa i niezbadana niczym nocne niebo.

– Potrzebujemy światła. Weź mój toporek i utnij kilka pnączy. Postaraj się przy okazji nie odrąbać sobie palców u nóg – polecił.

Desdemona była doświadczoną łowczynią, ale zbyt pewność siebie i fakt, że łatwo się rozpraszała, sprawiały, że bywała niezdarą. Mrucząc coś pod nosem, posłuchała go i ucięła całą garść pnączy, pozwalając, aby letnie światło wpadło do jaskini.

Rozpalenie ognia nie zajęło Dagmarowi zbyt wiele czasu, jednak huk młota Thora i przyzwany przez niego potok deszczu uderzający o klify groziły, że zostaną w jaskini dłużej, niż będą w stanie utrzymać ogień. Desdemona przykucnęła przy ognisku i związała kilka gałązek nitkowatymi pnączami, tworząc w ten sposób prowizoryczną pochodnię. Potem zrobiła drugą, dla Dagmara, jednak była zbyt niecierpliwa, aby na niego czekać i ruszyła sama zapolować na zająca.

Pilnujący ognia Dagmar zauważył, że dym z płonących gałęzi nigdzie się nie gromadził, tylko wznosił ku częściom jaskini, których nie był w stanie dostrzec. Był przekonany, że gdzieś nad nim jest otwór, lecz porzucił tę myśl, gdy usłyszał dziwny, dobiegający z oddali głos Desdemony. Brzmiał... zupełnie jakby unosił się z dymem.

Mężczyzna nie widział swojej siostry, dostrzegł tylko czerwony blask rozpraszający mrok, ruszył więc w jego stronę, trzymając w dłoni zrobioną przez Desdemonę pochodnię. Tunel skręcał, a przejście wielkości człowieka prowadziło do miejsc, których Dagmar nigdy by nie odwiedził. Zostawił rozpalony własnoręcznie ogień, idąc w stronę migoczącego przed sobą światła. Desdemona była o wiele dalej, niż on sam kiedykolwiek by się zapuścił. Podchodząc do niej, powstrzymał się od powiedzenia kilku ostrych słów, które cisnęły mu się na usta.

Jego siostra stała w łukowatym przejściu prowadzącym do kolejnej groty. Desdemona stała odwrócona twarzą do ściany i oświetlała ją uniesioną pochodnią. Gdy zbliżał się do niej, odwróciła się, a światło jej pochodni rozlało się po części ściany. Cienie otaczające Desdemonę tańczyły, powiększały się i znikwały, gdy się poruszała. Dagmar zobaczył, jak duża jest sąsiednia grotka. Była to bardziej komnata niż jaskinia, a otaczające ją skały wyglądały jak kopuła świątyni, którą Dagmar widział tylko raz.

– Co to jest? – zapytała, gdy zatrzymał się przy wejściu. On również unioś swą lichą pochodnię, chcąc zobaczyć wszystko na własne oczy.

Nim udzielił jej odpowiedzi, trzykrotnie obszedł całe pomieszczenie. Mówił ściszym głosem, a serce tłukło mu się w piersi jak szalone. Komnatę wypełniały setki wyrytych w skale rysunków. Było to pismo obrazkowe: kręgi i obeliski, uproszczone rysunki oczu i kanciaste kształty. Nie potrafił ich rozszyfrować, lecz je rozpoznawał.

– To są... runy – szepnął. Włoski na jego karku i ramionach uniosły się z szacunku.

– Myślałam, że runy znajdują się wyłącznie w Świątyni Sayloka. Byłam pewna, że opiekunowie ich strzegą – szepnęła Desdemona. Na jej twarzy nie malował się strach, z kolei jej głos odbijał się echem wewnątrz serca Dagmara.

Młody mężczyzna był na tyle mądry, aby się bać za nich oboje. Jednak nie bał się wystarczająco bardzo, aby odejść. Rozległ się huk gromu uderzającego o znajdującą się nad nimi górę. Echo loskotu sprawiło, że w komnacie rozległ się szum.

– Co one twoim zdaniem oznaczają? Czy to jakieś opowieści?  
– zapytała Desdemona.

– Niektóre z nich tak. Spójrz, te z pewnością rozpoznasz – powiedział, wskazując na symbole wyryte najbliżej wejścia. Zdało się, że wszystkie rozpoczynały się właśnie w tym miejscu.

– To opowieść o bogach – odpowiedziała zadowolona z siebie.  
– Tu jest Ojciec Saylok – zauważyła. – I orzeł Adyar, niedźwiedź Berne, wilk Dolphys, dzik Ebba, koń Joran i lew Leok. – Rzeźbione rysunki były niezwykle szczegółowe. Bóg Saylok, syn Ody na i ojciec ich krainy stał pośrodku sześcioramiennej gwiazdy, a każde z jego zwierzęcych dzieci było wyryte na swoim ramieniu gwiazdy, w równej odległości od niego.

– Tak nasza kraina musi wyglądać z nieba. – Dagmar dotknęła ręką centralnej części płaskorzeźby, po czym przesunął dłoń w prawo, wymawiając nazwy wszystkich klanów: – Adyar, Berne, Dolphys, Ebba, Joran i Leok – a jego palce muskały wizerunek zwierzęcia symbolizujący każdy z klanów.

Zachęcona zachowaniem brata Desdemona wyciągnęła rękę i przycisnęła dłoń do znajdującej się bezpośrednio przed nią runy. W tańczących cieniach jej oczy rozbłyły ciekawością.

– Dagmarze, ta runa ma skrzydła – zachwycała się, przesuwając palcami po brzegach symbolu. Huk odległego grzmotu brzmiał teraz inaczej. Narastał, aż w końcu komnatę wypełnił tysiąc szeptów. Dźwięk ten robił się coraz głośniejszy, zupełnie jakby wiatr uciekał przed deszczem do jaskini.

Desdemona oderwała rękę od symbolu, lecz było już za późno. Skądś znad ich głów opadła chmura skrzydeł, która zaczęła wirować po komnacie. Uderzała o ściany, szukając wolnej przestrzeni, po chwili zaplątując się Desdemonie we włosy i targając

ubranie Dagmara. Oboje odrzucili pochodnie, aby móc wolnymi rękami dziko uderzać o wijące się ciała i pergaminowe skrzydła. Z gardeł rodzeństwa dobiegły stłumione krzyki, gdy wtulali w siebie twarze, starając się schować przed latającym rojem.

Nietoperze równie szybko jak się pojawiły, znalazły w jaskini otwór i rzuciły się do ucieczki, a świst, z jakim odleciały, niósł się echem po komnacie nawet chwilę po ich zniknięciu. Przez moment rodzeństwo kuliło się razem, przesuwając dłońmi po kończynach i luźnych ubraniach w poszukiwaniu ślepych intruzów.

Leżące na ziemi pochodnie paliły się niczym małe ogniska. Dagmar pochylił się, aby je podnieść. Poczuł ulgę, że nie zostanie z siostrą skazani na szukanie drogi powrotnej w zupełnych ciemnościach. Zadrzał gwałtownie i jeszcze raz otrząpął ubranie, z kolei ściskająca pochodnię w dłoni Desdemona szła już dalej. Jej strach był równie ulotny jak obecność nietoperzy.

– Tamta runa miała skrzydła, a ta to płomień. Może to runa ognia – dumiała.

– Nie! – krzyknął Dagmar. Jego głos poniósł się po komnacie i odbił od ścian, brzmiąc jak protestujący chór, jednak wgłębienie w kamieniu, którego dotykała Desdemona, zapłonęło, a tworzące ją linie zaczęły jarzyć się niczym rozżarzone węgle. Dagmar zaklął i ponownie upuścił pochodnie. Szybko zdjął swój płaszcz, chcąc nim ugasić liżący ścianę ogień. – Oszalałaś? Nie wolno dotykać run! – krzyknął, uderzając swoją szatą w płomień. Jego płaszcz zaczął się palić. Zresztą i tak już śmierdział nietoperzami. Runa zgasła, gdy tylko ogień został ugaszony, a dyszący Dagmar wycofał się, czekając na kolejne nieszczęście.

– Dlaczego nie mogę ich dotykać? Ty to zrobiłeś – mruknęła Desdemona, jednak mimo że ją skarcił, pochyliła się, aby podnieść jego pochodnię.

A wtedy Dagmar zdał sobie sprawę, że rzeczywiście tak było. Pierwszy dotknął ściany.

Przesuwał ręką po gwieździe Sayloka i nic się nie wydarzyło.

– Może... niektóre po prostu opowiadają jakąś historię – rzucił, czując dziwną pustkę.

– To dotknij runy ognia – rzuciła mu wyzwanie. – Moja pochodnia zgasła.

Zawahał się, wiedząc, że wychodzi na głupka, a Desdemona jest jego prześladowcą, jednak nie był w stanie się oprzeć.

Spodziewał się, że poczuje ciepło, lecz poczuł jedynie chłodny pocałunek kamienia, a szorstka powierzchnia ściany łaskotała go w opuszki palców. Przycisnął palce mocniej, pragnąc, aby runa stanęła w ogniu, pragnął mocy, którą jego siostra z taką łatwością władała. Nagle rozpaczliwie chciał przywołać skrzydła i ogień, nawet jeśli miałyby to oznaczać, że zostanie porwany przez nietoperze, a jaskinie wypełnią płomienie.

Tyle że runa mu odmówiła.

– Może mam runiczną krew. – Zadumała się zupełnie nieświadoma jego rozczarowania. – Tak jak opiekunowie.

– Runiczna krew nie ma żadnego sensu – powiedział Dagmar. Uśmiechnął się do niej, nie chcąc, aby w jego głosie słychać było zazdrość. Westchnął, chcąc pozbyć się zazdrości kłującej go w pierś. Od zawsze marzył, aby zostać Opiekunem Saylok.

Zamarł, w jego głowie pojawiła się pewna myśl.

– Na palcach... masz... krew – oznajmił. – Obrysowałaś nią runy. Hilde mówiła, że opiekunowie używają krwi, aby zasilić runy.

Desdemona uniosła swój palec w stronę światła. Pokrywała ją krew.

– Mam... mam runiczną krew – zdumiała się radośnie.

Z pomocą ostrza toporka Dagmar nakłuł swój palec i skrzywił się lekko, czując szczypanie rany. Na opuszce palca pojawiła się krew, w słabym świetle wyglądała na zupełnie czarną. Nie pozwalając sobie na strach, obrysował runę przedstawiającą oko. Wcierał swoją krew w zagłębienia tworzące powiekę, rzęsy oraz źrenicę. Runa w porównaniu z innymi wyglądała na stosunko-

wo nieszkodliwą, nie symbolizowała skrzydeł, płomieni, mieczy czy też bezgłowych ludzi.

A potem czekał. Był jednocześnie pełen nadziei, jak i przerażony tym, co może zobaczyć... lub też tym, czego *nie* zobaczy.

Nagle całkowicie pochłonęła go ciemność, a umysł przestał już należeć do niego.

Obrazy pojawiały się i znikaly, a gdy zaczął wznosić się ponad klifami, dzieląca go od nich odległość zaczęła się zmniejszać. Lecił ponad drzewami z przerażającą prędkością, szybując z powrotem do domu w Dolphys, gdzie mieszkał wraz z siostrą i ojcem, gdzie wypasał kozy i karmił świnie, a także gdzie czytał wszystko, co wpadło mu w ręce, nawet jeśli to były jego własne bazgroły. Minął swój dom, a następnie przemknął ponad wzgórzami i dolinami, ponad lasami i strumieniami, aż w końcu zatrzymał się na Świątynnym Wzgórzu Saylok. Jego dłonie pokrywała krew, a oczy wznosiły się ku krokwiom sanktuarium. Miał na sobie ciemnofioletową szatę opiekuna i było mu zimno w głowę. Dotknął jej mokrymi palcami i poczuł pod nimi nagą skórę.

Świątynia rozplynęła się, a jej miejsce zajął zagajnik. Gigantyczne pnie drzew i ciężkie gałęzie przysłoniły niebo, wyrastając z ziemi, na której kłęczał. W swych ramionach trzymał kobietę. Wyglądała jak jego wspomnienie o matce, jednak miał cztery lata, gdy umarła – był taki mały – i nigdy nie trzymał jej w ten sposób. To ona zawsze go tak trzymała. Ciało miała gorące, natomiast jej wzrok był lodowaty, a on płakał. Rozpaczliwy szloch rozrywał jego pierś i gardło.

– Dagmarze, słyszysz mnie? – zapytała matka, lecz jej oczy były nieruchome. Tak samo jak jej usta. – Dagmarze! – krzyczała, a on gwałtownie wciągnął głębokie hausty powietrza do swych spragnionych płuc. Odetchnął głęboko, tak mocno, że kobieta wyslizgnęła się z jego ramion, a on znów wystrzelił w dal. Krajobraz pod nim zmieniał się tak szybko, że wszystko zlało się w rozmażaną plamę zieleni oraz błękitu, w jasność oraz ciemność, a on na

powrót znalazł się w jaskini. Leżał na plecach z rozrzuconymi na boki rękami i nogami, czuł krew w nozdrzach oraz pulsowanie za oczami. Obok klęczała Desdemona, trzymając w ręce pochodnię, a on zdał sobie sprawę, że to ona go wołała.

– Przestraszyłeś mnie – szepnęła, wycierając policzki. Płakała. On też płakał. Usiadł ostrożnie, czuł, że żołądek mu się skręca. – Runąłeś na ziemię jak martwy – poskarżyła się.

Wymacał kok z tyłu głowy, z którego wyrastał ciasno spleciony warkocz. Znow miał włosy.

– Dagmarze, chcę wrócić do domu. Chcę być wojowniczką, nie opiekunką – powiedziała Desdemona, pomagając mu wstać. Jej pochodnia zgasła, lecz jego wciąż się paliła, pozwalając im opuścić komnatę z runami i trafić z powrotem do jaskini, w której rozpalili ognisko.

Dagmar czuł się, jakby odłączył się od swojego ciała – poruszał stopami, jednak w ogóle ich nie czuł, Desdemona trzymała go za rękę, a on nie czuł niczego poza kamieniami. Ciężkimi, zimnymi i ponurymi kamieniami. Otaczały go, były pod nim i w nim.

– Przestało padać – oznajmiła, gdy wyszli z jaskini. Lecz on szedłby dalej, nawet gdyby wciąż lało. Minęło trochę czasu, nim odzyskał mowę i nim jego kończyny się rozgrzały, a jego ciało znowu zaczęło należeć do niego. Idąca obok Desdemona milczała, zupełnie jakby czuła jego skołowanie i walczyła z własnym. Jednak gdy w końcu znaleźli się u stóp Shinway, odezwał się do niej radykalnym, przyciszonym tonem, jakby bał się, że nawet drzewa go usłyszą:

– Obiecuj mi, że nigdy nie pójdziesz do tej jaskini – błagał. – Obiecuj mi też, że nigdy nikomu o niej nie powiesz.

– Obiecuję – powiedziała, ale widział jej zniecierpliwienie i zmęczenie. To, czego doświadczyła w jaskini, zniknęło, z łatwością odsunęła od siebie ten koszmar. Pociągnęła go, chcąc wrócić do chaty, aby zjeść kolację i wypocząć. Tyle że on nigdy o tym nie zapomni.

- Desdemono. - Jęknął. - Posłuchaj mnie.
- Słucham, Dagmarze - zapewniła, patrząc mu w oczy.
- Ta jaskinia jest pełna rzeczy, które nie powinny zostać odnalezione - szepnął głosem drżącym ze strachu.

Desdemona skinęła głową, jej niebieskie oczy były szeroko otwarte. Dagmar po raz pierwszy zauważył, jak bardzo siostra przypomina ich matkę.